



Janusz Brzozowski

Tajemnica
manuskryptu
Q

Janusz Brzozowski

**TAJEMNICA
MANUSKRYPTU
Q**

© Copyright by Janusz Brzozowski & e-bookowo
Projekt okładki: Janusz Brzozowski

Korekta: Katarzyna Zielińska

ISBN 978-83-7859-299-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

*Nadzieja to pożyczka,
której udziela nam szczęście*
Antoine de Rivanol

ROZDZIAŁ 1

Bogusław Filipowicz otrzymując więzienną przepustkę tryskał radością. Dzień 15 listopada 2011 roku mógł zapisać do najszcześniejszych dni w swoim życiu. Czterdzieści osiem godzin wolności, jakie miał przed sobą, postanowił spędzić w gronie swojej najbliższej rodziny. Wychodząc z więziennej bramy obejrzał się za siebie jakby nie wierzył w to co go spotkało. Jeszcze dziewięć miesięcy i raz na zawsze zapomnę o tej wspanialej rezydencji, gdzie spędziłem ostatnie czternaście lat, pomyślał. Niepewnie wyszedł na ulicę patrząc z ciekawością na uliczny ruch jaki w godzinach południowych był zwykłą, normalną codziennością.

– Jeszcze trochę cierpliwości i będę wolny – pomyślał, siadając na ławce na której miał czekać na brata. Patrząc na górujący nad skwerem pomnik Mickiewicza, zwrócił uwagę na jadące z dużą szybkością białe Audi, które, wymuszając pierwszeństwo, zatrzymało się na wprost niego.

– Pan Filipowicz? – spytał ochryplym głosem

szpakowaty mężczyzna, któremu oczy zakrywały duże, słoneczne okulary.

– Tak, to ja.

– Pana brat prosił, bym odebrał pana i zawiózł do Złotego Rogu, gdzie w nowym domu pana brata czeka już cała rodzina. Jestem Seweryn, bliski przyjaciel pana brata, który prosił również, bym przekazał, że będzie miał dla pana czas dopiero za parę godzin.

– Z tego co słyszę to on nadal jest bardzo zajęty. Nie raz mu mówiłem, że w przyszłości ciężko będzie mu znaleźć czas by umrzeć.

Siedzący za kierownicą, mężczyzna zaśmiał się ochryplym głosem. Rzucając na tylne siedzenie swoją torbę Bogusław Filipowicz wsiadł do samochodu.

– Co słyhać u brata? – spytał, by nawiązać rozmowę.

– Powiem panu tylko tyle, że przygotował on dla pana sporą i bardzo miłą niespodziankę.

– Co on wymyślił? Z tego, co pamiętam zawsze lubił zabłysnąć czymś oryginalnym.

Spojrzał na twarz kierowcy, na której zobaczył dziwny, wyrafinowany uśmiezek.

– Można zapalić? – spytał Bogusław w momencie jak zobaczył parędziesiąt metrów przed nimi uniesioną w górę rękę policjanta.

– Cholera jasna, chyba dwie stówki nie moje, co za francowaty dzień – burknął pod nosem.

– Jakbyś nie jechał jak wariat, to by cię nie zatrzymali – pomyślał Bogusław Filipowicz. Zatrzymując się na poboczu drogi Bogusław wysiadł i, opierając się o samochód, zapalił papierosa. Droga, na której stali była szeroka, porośnięta starymi, wysokimi drzewami.

– ...nie chciałem, panie sierżancie, jechać tak szybko. Ale wie pan, jak to jest, cała rodzina czeka na człowieka,

który właśnie przyleciał z Australii.

– Oto pana prawo jazdy i mandat. Radziłbym panu na zawsze zapamiętać dzisiejszą datę 15 listopada i nie mieć tak ciężkiej nogi, bo pana wujek może więcej nie zobaczyć skaczącego kangura – powiedział policjant odchodząc.

– Wsiadaj pan, palić możesz pan w środku, a zapomniałem powiedzieć, że w tyle na podłodze jest butelka wódki. Jak chce się pan napić, to i kieliszek tam będzie.

– Dobra myśl, ciekawe jak będzie ona smakować po tylu latach – pomyślał odwracając się. Trzymając butelkę spojrzał na etykietkę, przypominając sobie stare, dobre czasy, gdzie picie wódki było dla niego zwykłą codziennością.

– Zapal pan porządnego papierosa, a nie pal pan tego siana – zaproponował kierowca zdejmując słoneczne okulary. Wyciągnął ze schowka paczkę Pall Mali i podsunął mu pod rękę.

– Silna ta wódka – powiedział Bogus zaciągając się dymem. Pomimo wysiłku powieki stawały mu się coraz cięższe aż zamknął je wypuszczając z palców palącego się papierosa.

– To był chyba twój ostatni papieros – powiedział ochryplym głosem kierowca widząc opadniętą na bok głowę Bogusława Filipowicza.

Leżące na stoliku zdjęcia przedstawiały poszczególne miejsca posesji Anny i Piotra Balickich od chwili jej kupna aż po dzień dzisiejszy. Piotr Balicki siedząc na werandzie swojego domu w Bunbury wpatrywał się w zdjęcia nie mogąc uwierzyć w olbrzymie zmiany jakie

zaszły na przestrzeni tych dziesięciu lat od kiedy stał się właścicielem „Panderozy” jak nazywała ich posiadłość Anna.

– Zdjęcia nie kłamią, mój drogi mężu. Patrząc na nie, widać jak szybko mija nasze życie i jak przybywa nam lat.

W drzwiach prowadzących z kuchni na werandę stała Anna trzymając kubek parującej kawy.

– To prawda, ale przyznasz, że ta nasza ostatnia inwestycja jaka było położenie asfaltu od bramy gwiazdowej po werandę było doskonałym posunięciem.

– Oczywiście, przyznaje ci tu w stu procentach rację, ponieważ ten asfalt oszczędzi mi moich rąk w utrzymaniu porządku wokół domu.

– Porządku – zdziwił się Piotr.

– A tak, w porządku. Skończył się kurz, który z każdym, nawet najmniejszym podmuchem wiatru wdzierał się do domu.

– No tak, ale nie tylko tobie, Anno, ten asfalt ułatwi życie – oznajmił Piotr.

– A komu jeszcze, na pewno tobie.

– Nie, listonoszowi. Powiedział mi dzisiaj, że za położenie tego asfaltu należy się nam od niego porządna butelka dobrego koniaku, a w nagrodę od urzędu miasta co najmniej tygodniowy, darmowy urlop.

– I co? – spytała Anna.

– Myślę, że z tym urlopem to trafił w dziesiątkę mówiąc te słowa, a potwierdza to ten list, który mi wręczył, przeczytaj. – Podając Annie kopertę spytał.

– Czy wierzysz, kochana żono, w przypadkowe szczęście?

– Oczywiście, co za pytanie, Piotrze? Mogę na poczekaniu, bez zastanowienia wymienić ci ich kilka,

które dotyczą ciebie.

– No to wymień, słucham.

– Twoim największym życiowym szczęściem jestem ja. Czy zaprzeczysz temu?

Piotr uśmiechnął się, zbierając ze stołu zdjęcia.

– Pytałem poważnie, Anno. Czy to, co jest w tym liście też zaliczysz do życiowego szczęścia. Przeczytaj ten list.

Zanosząc zdjęcia do pokoju wrócił na werandę z kubkiem kawy.

– Oczywiście, z czystym sumieniem mogę powiedzieć i to bez żartów, że masz Piotrze w swoim życiu wyjątkowe szczęście.

– A ja uważam zupełnie inaczej, Anno, ale może jestem już tym wszystkim zmęczony i dlatego tak myślę – dodał po chwili.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie mając szczęścia ktoś może wygrać tygodniowy urlop w drogim hotelu w najbardziej atrakcyjnym mieście Tajlandii?

– No właśnie, Aniu, co o tym myślisz?

– Nawet się nie zastanawiaj, tylko dzwoń i potwierdź, że jedziemy nawet jeszcze dzisiaj.

– A który dzisiaj jest? – spytał Piotr. Anna spojrzała dziwnie na męża.

– Dziś mamy 14 listopada. Myślę, że już jutro całkiem śmiało możemy lecieć, szczęśliwcu. Idę się pakować.

Listopadowy dzień wstawał w Krakowie pochmurny i szary. Docent Mirosław Szczęsny leżąc w łóżku dotknął czoła stwierdzając, że pomimo regularnego zażywania lekarstw przez ostatnie dwa dni to gorączka

go nie opuściła. Pulsujący, ostry ból głowy, jaki towarzyszył mu od wczorajszego rana świdrował mu podstawę czaszki stając się momentami nie do wytrzymania. Biorąc z nocnej szafki tabletkę Polopiryny zwrócił uwagę na raport, jaki wczorajszego wieczoru stworzył resztkami sił. Jeżeli istotnie udało się Panidze wyeliminować z receptury ten paskudny składnik szczepionki i zastąpić go innym, to wpadnie mi spora premia, pomyślał popijając tabletkę wodą. Przewracając się na bok spojrzał w okno, gdzie stróżki deszczu wolno spływały po szybie. Trzeba się jakoś doprowadzić do stanu używalności, pomyślał wstając ociężałe z łóżka. Pomimo złego samopoczucia, nie przestawał myśleć o wieczornym spotkaniu z Panidą. Miała to być ich pierwsza, prawdziwa randka, pomimo, że widywali się ze sobą każdego dnia, pracując w tym samym laboratorium Zakładów Farmaceutycznych Pliva. Cholera jasna, dlaczego właśnie teraz złapała mnie ta przekłeta grypa, pomyślał. Spojrzał na zegarek, dochodziła siódma. Może gorący prysznic mi pomoże, pomyślał idąc do łazienki. Pomimo, że w łazience było ciepło, goląc się dostał dreszczy. Jak każdego ranka po wyjściu z łazienki włączył wodę na kawę i wypił szklankę soku pomarańczowego, gasząc pragnienie, jakie męczyło go od wczesnych godzin nocnych. Czując się o wiele lepiej zauważył, że wstąpił w niego jakiś pozytywny nastrój. Widział oczami wyobraźni długo oczekiwany wieczór, na którym mu tak bardzo zależało. Zapinając guziki koszuli, usłyszał w sąsiednim pokoju sygnał swojej komórki.

– Tak, słucham ciebie, marudo.

Przełączając komórkę na głośno mówiącą, postawił kołnierz koszuli, szukając wzrokiem krawatu.

Spis treści

ROZDZIAŁ 1 5

ROZDZIAŁ 2 18

ROZDZIAŁ 3 78

ROZDZIAŁ 4 120

ROZDZIAŁ 5 140

ROZDZIAŁ 6 198

ROZDZIAŁ 7 246

FINAŁ 301